

Ten koszmar zaczął się tak samo jak pozostałe. I, tak jak zwykle, zakończył się przerażającym przebudzeniem. Tym razem jednak, gdy wreszcie otworzyłam oczy, nie zobaczyłam, na opuszczonym cmentarzu, słońca. Widziałam tylko mrok.

Niespodziewana ciemność znów mnie przeraziła, zwłaszcza że w chwili, która trwałaby tyle co pojedyncze uderzenie mojego martwego serca, poznałam, gdzie jestem.

Znów byłam w rzece.

Próbując odetchnąć, nie wdychałam jednak błotnistej wody. Moje ciało było wciąż tak niesubstancjalne, jak przed koszmarem. Unosiło się na powierzchni, nie zważając na fale wzburzonej wody. Tym razem jednak coś się zmieniło, chociaż scena przypominała tę, która pojawiała się w moich wszystkich przeraźliwych snach.

Tym razem to nie ja tonęłam.

To on tonął.

Moje pierwsze wrażenie było błędne. Woda nie była całkiem czarna. Ponad powierzchnią błyszczało słabe światło – być może był to księżyc, było zbyt szaro, by mogło świecić słońce. Dwa stłumione promienie wydawały się unosić z głębi rzeki.

Nie, nie unosiły się. Były skierowane w górę, ale tak jakby wycofywały się. Zerknęłam na nie. Wyłaniały się z wielkiego, ciemnego kształtu, który znajdował się tuż przede mną. Ten kształt – samochód ze światłami przesywającymi ciemność – powoli zapadał się w dół.

Pokręciłam głową. Samochód niewiele mnie obchodził. Skupiłam uwagę na chłopcu widocznym w blasku światel.

Jego ciało przybrało kształt litery „X”, ramiona skierowane były w górę, a obute w tenisówki nogi zwisały beładnie. Jego głowa opadała na piersi, ale byłam pewna, że ma zamknięte oczy.

Chłopiec nie walczył, nie ruszał się i nagle zdałam sobie sprawę, że jest nieprzytomny. Nie był to ten rodzaj nieświadomości, który dręczy martwych, lecz ten, który zabija żywych.

Jeśli się nie obudzi, utonie.

Nie myśląc wiele, popłynęłam do niego tak szybko, jak umiałam. Gdy znalazłam się tuż obok, zobaczyłam jego twarz. Był młody, na pewno nie starszy niż ja w chwili śmierci. Jego twarz wydawała się spokojna. Był bardzo przystojny, nawet pod wodą mogłam dostrzec jego urodę. Jego ciemne włosy powoli falowały nad głową. Na myśl przyszło mi dziwne skojarzenie: jego rozłożone ramiona przypominały skrzydła. Zupełnie zbędne. Zaczęłam zastanawiać się, czy, gdy umierałam, moje były do nich podobne.

Moje myśli wzburzyły się. Nie, ten chłopak nie mógł umrzeć. Nie mogłam na to pozwolić. Nie tutaj, nie w ten sposób.

Wyciągnęłam ku niemu ręce, desperacko próbując chwycić go za kończyny lub ubranie, pociągnąć go do góry. Szarpałam jego koszulę i džinsy, nawet te ciemne włosy.

Ciągnęłam i ciągnęłam, oczywiście nic się nie wydarzyło. Moje głupie, martwe ręce nie mogły go dotknąć, nie mogły go uratować. Walczyłam tak jak tej nocy, gdy zginęłam – i nic, co robiłam, nie mogło mieć wpływu na sytuację. Byłam tu zbędna... i w pełni świadoma faktu, że nie żyję.

Szybko zaczęłam zanosić się płaczem i oparłam obie dłonie o jego pierś. Gdy spływalismy coraz niżej, wyraźnie poczułam bicie jego serca.

Nie wydawało mi się, bym miała jakiegokolwiek nadprzyrodzone moce. Chociaż niektóre z moich ludzkich zmysłów – wzrok i słuch – przetrwały, nie czułam już smaku, zapachu, ani dotyku rzeczy ze świata żywych. Moje pozostałe zmysły nie osłabły, ale też nie wyostrzyły się.

Odgłos uderzeń serca zaskoczył mnie. Nie powinnam była słyszeć go aż tak dobrze, a jednak słyszałam. Mimo że dzieliło nas jakieś trzydzieści centymetrów wody, a w moim słuchu nie było nic nadludzkiego, słyszałam bicie jego serca tak wyraźnie, jakbym przystawiła do jego piersi stetoskop.

Zastanawiałam się, czy ma to coś wspólnego ze śmiercią. Z jego śmiercią. Być może martwi potrafili usłyszeć, że pędzi ku nim nowy towarzysz. Czy też, jak w tym przypadku – towarzysza powoli ku nim płynącego.

Tonęliśmy dalej. Każde uderzenie jego delikatnego serca następowało później niż poprzednie, aż wreszcie...

Jego serce jakby zająknęło się raz i drugi. I już go nie słyszałam. Maleńki bąbelek wydostał się z kącika ust chłopaka i popłynął w górę.

Krzyknęłam. Krzyknęłam tak, jak krzyczałam, gdy tonęłam sama, wściekła i zawstydzona swoją bezsilnością. Krzyczałam i uderzałam swymi bezużytecznymi dłońmi o jego pierś.

I w tym momencie otworzył oczy.

Spojrzał w prawo i w lewo, lustrując otoczenie. Wreszcie spojrzał na mnie, prosto w moje oczy.

Zamarłam. Czy on mnie... widział?

Uśmiechnął się, a potem wyciągnął dłoń, by dotknąć mojego policzka. Poczułam jego ciepłą skórę. Nie myśląc wiele, położyłam dłoń na jego twarzy. Gdy go dotknęłam, uśmiechnął się szerzej.

Widział mnie.

Widział mnie, widział mnie, widział mnie!

Moje nieruchome, niebijące serce poszybowało w górę. Jego serce zrobiło to samo.

Jego serce – to, którego zatrzymanie dopiero co usłyszałam – zabiło raz i drugi.

Najpierw biło powoli i nierówno, szybko jednak uderzenia stały się miarowe.

Spojrzał w dół, na swoją pierś, a potem znowu na mnie, unosząc brwi, zdziwiony dźwiękiem, który płynął z jego wnętrza.

Potem odkaslnął. Całe jego ciało drgnęło, a z jego ust wydobyła się chmara bąbelków.

Zaczął kopać i wymachiwać rękami. Gdy tak się miotał, zorientowałam się, że nie słyszę już bicia jego serca. A jednak uderzał na oślep kończynami, walcząc z ciemną wodą. Gwałtownie kaszłał, gdy jego płuca walczyły o życie. Poprzez kłębiącą się wodę mogłam dostrzec jego twarz. Wydawał się przerażony, wściekły i zdesperowany.

Rozpoznałam ten wyraz twarzy. Kiedyś tak właśnie się czułam. Chłopak żył. Żył i nie chciał umrzeć.

Płyn! - zawołałam nagle. - Do góry!

Nie spojrzał na mnie, ale zaczął krzyżować nogi i chwycić wodę ponad głową, jakby próbował wydostać się z jamy. W odróżnieniu od moich daremnych wysiłków, jego ruchy były skuteczne. Zaczął płynąć w górę, ku powierzchni wody.

Nigdy nie czułam takiej ulgi. Ani wtedy, kiedy budziłam się z miliona koszmarów, ani wtedy, gdy milion razy na nowo zdawałam sobie sprawę, że już nie tonę.

Do góry! - zawołałam jeszcze raz, tym razem z radością.

Wciąż próbował wydostać się na powierzchnię, nie oglądając się na mnie, nie słysząc dźwięku mojego głosu, gdy płynęłam za nim bez wysiłku. Być może znów stałam się dla niego inna – martwa. W tym momencie nic mnie to jednak nie obchodziło. Będzie żył! Nie umrze w tej zimnej, mokrej dziurze tak, jak ja umarłam. To mi wystarczało.

Wydawało mi się, że minęła wieczność, ale wreszcie wypłynął na powierzchnię. Dusił się, dławił i walczył o oddech, uderzając ramionami o taflę wody, jakby próbował wznieść się ponad nią i odfrunąć.

Unosiłam się obok niego, nie zwracając uwagi na prąd ani na wiry, które powstawały pod jego ramionami. Kiedy głęboko odetchnął, roześmiałam się i zaklaskałam w dłonie. Potem przyłożyłam je do ust: roześmiałam się po raz pierwszy od chwili śmierci. Josh! Josh!

Nieznany głos zaskoczył mnie. Ktoś zawołał nas z brzegu rzeki. A w zasadzie nie nas, tylko chłopaka. Niemal bezwiednie odwróciłam się od niego na brzegu za nimi zobaczyłam grupę postaci.

Josh! - zawołał dziewczęcy głos. - O Boże, Josh! Niech ktoś mu pomoże!

Odwróciłam się z powrotem do chłopaka, który wciąż kaszlał i miotał się.

Josh? - spytałam. - Masz na imię Josh?

Nie odpowiedział.

Dobra, Josh czy nie Josh, wiem, że jesteś zmęczony. Nawet nie wiesz, jak dobrze wiem. Wiem też, że prawdopodobnie mnie nie słyszysz. Ale musisz popłynąć w stronę tych głosów. Rozumiesz?

Przez chwilę nie reagował. Potem powoli zaczął ruszać ramionami. Trudno było nazwać te ruchy pływaniem, jednak wystarczały, by popchnąć jego ciało naprzód.

Gdy się zbliżał do brzegu, okrzyki stały się głośniejsze. Pośród nich dało się słyszeć rozmowę o tym, jak wyciągnąć chłopaka z wody.

Tak naprawdę jednak nie słuchałam stojących na brzegu ludzi, lecz przyglądałam się chłopakowi. Patrzyłam na niego z tak bliska, jak tylko się dało. Po raz pierwszy od mojej śmierci zaczęłam się modlić. Modliłam się, by bezpiecznie dotarł do brzegu, żeby się nie poddał i nie pozwolił, by uniósł go prąd.

Proszę – szepnęłam, płynąc za nim. - Proszę, pozwól mu się uratować.

Chłopak udowodnił, że jest znacznie silniejszy, niż ja kiedykolwiek. Przez kilka kolejnych, przeraźliwych minut walczył z prądem rzeki. Wreszcie znalazł się już tak blisko, że ktoś był w stanie chwycić go za ramię i na wpół płynąć, na wpół ciągnąć chłopaka do brzegu. .

Zebrany na moście i nadrzecznej trawie tłum wydał z siebie okrzyk radości i strachu. Człowiek, który wyciągnął chłopaka z wody, położył go na błotnistej, czerwonej ziemi. Gdy wychodziłam z wody i szłam ku brzegowi, widziałam, jak mężczyzna trzęsie ciałem chłopaka, w nadziei na jakiś znak życia.

Chłopak natychmiast przewrócił się na bok, odkaslnął i zaczął wymiotować wodą. Tłum odetchnął z ulgą. Ich twarze widać było wyraźnie w świetle samochodów zaparkowanych na trawie i na moście. Miny gapiów wyrażały napięcie, podekscytowanie i strach.

Josh, Josh! - wołali chórem.

Zdawało się, że wszyscy znają jego imię.

Dopiero w tym momencie zauważyłam wielokolorowe światła karetek za gapiami zebranych na moście. W ciągu ledwie kilku sekund dwóch sanitariuszy przedostało się przez wał i uklękło przy chłopcu, by przeprowadzić bardziej efektywną reanimację. Minutę później chłopak – mój chłopak, jeśli dobrze odczytywałam opanowujące mnie myśli – został ułożony na noszach i zanieiony do karetki. Tłum ruszył za sanitariuszami, a ja straciłam go z oczu.

Moja udręka powinna się teraz zakończyć. A jednak nie byłam w stanie stać spokojnie. Nie byłam w stanie patrzeć, jak obcy ludzie zabierają jedyną żywą osobę, która mnie widziała. Mojego chłopca. Mojego Josha.

Ruszyłam przed siebie, zdeterminowana. Oczywiście nikt mnie nie widział ani nie czuł, mimo to jednak musiałam walczyć, by przedostać się przez tłum.

Jakimś cudem udało mi się. Wepchnęłam się pomiędzy dwie postacie i nagle znalazłam się tuż przy noszach, właśnie w chwili gdy sanitariusze unieśli je, by umieścić w karetcie.

Pochyliłam się nad chłopcem. W świetle księżyca jego zmęczona twarz wydawała się bardzo blada. Musiałam powstrzymać płacz.

Josh? - pisnęłam, niepewna, co zrobić, niepewna czegokolwiek.

Wtedy otworzył oczy, ciemne – zbyt ciemne, by w mroku dało się rozpoznać ich kolor. Spojrzał na mnie i patrzył przez chwilę, nim sanitariusze usunęli go poza zasięg mego wzroku prawdopodobnie na zawsze.

Joshua – wyszeptał, zachrypniętym od wody głosem. - Mam na imię Joshua.

Nosze wniesiono do karetki, jej drzwi zamknęły się i chłopak zniknął.

Stałam nieruchomo na brzegu rzeki. Niektórzy z gapiów wciąż tam jeszcze byli. Rozmawiali o tym, co się wydarzyło, o tym, co – jak podejrzewałam – mogło skończyć się tragicznie. Ledwie zauważyłam, jak odchodzi ostatnia osoba i jak ostatnie światła samochodu znikają w mroku nocy. Nie zwracałam specjalnej uwagi na obrazy i dźwięki, które mnie otaczały.

Widziałam natomiast jego oczy patrzące prosto na mnie. Słyszałam jego głos... mówiący do mnie? Tak, byłam tego pewna. Nikt nie kazał mu podawać swojego imienia. Nie miał żadnego powodu, by zdradzać je komukolwiek prócz mnie. Większość zebranych zdawała się go znać. Być może znali go przez całe życie. Może, tak jak ja, wyczuwali, jak bardzo jest ważny.

Bo ja już to wiedziałam. Czulałam to w głębi mojego, nagle rozbudzonego, serca. Nie znałam jego wieku, nazwiska, nie miałam pojęcia, jak brzmiałby jego głos, gdyby wypowiedział moje imię. Wiedziałam jednak, że wszystko się zmieniło. Na zawsze.

Minęły dwa dni.

Choć ten fakt nie miał zapewne znaczenia dla żywych, dla mnie był niesamowity. Nigdy nie miałam powodu, by liczyć mijające dni. Wschody i zachody słońca w żaden sposób na mnie nie wpływały, jeśli nie liczyć tego, że w nocy miałam słabszy wzrok. Nie potrzebowałam snu, a moja codzienna samotność trwała, gdy zapadał zmierzch. A kiedy zaczęły się koszmary – z czuwania przenoszące mnie w nieprzytomne przerażenie, a potem w nieznane światło dnia – zupełnie straciłam chęć mierzenia czasu.

Aż do teraz.

Teraz nie mogłam się powstrzymać przed liczeniem każdej z samotnie spędzonych sekund.

Pierwszej nocy, gdy patrzyłam za odjeżdżającą karetką, pomyślałam, że mogłabym ruszyć za nią, ale zrezygnowałam z tego. Chociaż w koszmarach umiałam przenosić się w czasie i przestrzeni, nie potrafiłam jeszcze robić tego na jawie. Wciąż poruszałam się w zwyczajnym, ludzkim tempie i znalezienie szpitala, do którego zabrała chłopaka karetka, mogłoby mi zająć lata.

Dopiero gdy ostatni samochód odjechał znad brzegu, wpadło mi do głowy, że mogłam przecież wkraść się na puste siedzenie, być może pojechać z kierowcą aż do szpitala... ale co potem? Pomyślałam, że miałabym być pasażerem na gapę w czyimś samochodzie, w nadziei, że trafię do szpitala, w którym będę włączyć się po korytarzach, w poszukiwaniu kogoś nieznanego... gdy tylko zaczęłam to sobie wyobrażać poczułam się jak idiotka.

Oczywiście krążenie wokół miejsca mojej śmierci również nie wydawało się szczególnie racjonalne.

Z brzegu rzeki patrzyłam, jak policja ustawia barykadę wokół dziury w moście znajdującej się tuż nade mną. Patrzyłam, jak ekipa robotników, całkiem nieświadoma, że ktoś

na nią patrzy, wyciąga z wody samochód chłopaka. Nawet nie dziwiłam się, że ich obserwuję – któż nie byłby tym zainteresowany?

Później jednak każda kolejna chwila spędzona w tym miejscu sprawiała, że czułam się coraz bardziej głupio.

Przez chwilę próbowałam usprawiedliwiać moją potrzebę pozostania na miejscu. Wmawiałam sobie, że muszę po prostu zebrać myśli, a potem znów będę mogła wędrować bez celu. W głębi serca znałam jednak prawdę. Znałam prawdziwy powód, dla którego nie zamierzałam ruszać się znad rzeki. Nie chciałam już włączyć się bez celu. Chciałam wędrować, mając jasno określony cel, chciałam iść, szukając kogoś. Kogoś, kto omal nie umarł (albo umarł naprawdę – tego nie mogłam być pewna) w tej rzece. Kogoś, kto, czyniąc to, nieodwołalnie mnie zmienił.

Prócz tego, że nie chciałam się ruszyć z miejsca, były też inne znaki, że coś się zmieniło. Po pierwsze pojawiło się coś w rodzaju przebłysków. Szłam przez las rosnący wokół rzeki albo wzdłuż wału i nagle coś błyskało: jasny, kolorowy obraz, pełen zapachów i smaków pojawiał mi się przed oczami, by po sekundzie zniknąć.

Tak jak koszmary, przebłyski pojawiały się niespodziewanie. Nie towarzyszył im jednak ból ani strach, lecz coś znacznie przyjemniejszego; nie miałam co do tego pewności, podejrzewałam jednak, że są to wspomnienia z mojego życia.

Nie pojawiło się jeszcze nic znaczącego: czarna wstążka, powiewająca na wietrze; pisk opon na szosie, zapach ziemi po wiosennej burzy. Żadnych ludzi, imion, scen, które pozwoliłyby mi zrozumieć, kim byłam i jak umarłam. Nie doświadczałam też tak naprawdę zapachów ani smaków. To, co zdarzało się podczas przebłysków, było niczym odbicie owych doznań. Ale to mi wystarczało.

Choć widziałam niewiele, nabierałam coraz większej pewności, że te obrazy są moje. Że to wspomnienia z mojego życia, uwalniające się spod mgły, która otoczyła mój umysł po śmierci.

To on był tego przyczyną. Jego oczy w moich oczach. Jego ręka na moim policzku, dotykająca mnie z taką naturalnością, jakbyśmy byli stworzeni z tej samej materii. Skóra, krew, kości. Oddech, spojrzenie, dotyk.

Drżałam na samo wspomnienie jego skóry. Nie było to jednak jakieś wyobrażone, ulotne drżenie, ale prawdziwe fizyczne odczucie. I wreszcie kolejna, najcudowniejsza zmiana w mojej nowej egzystencji.

W noc wypadku po raz pierwszy poczułam, że coś naprawdę się wydarzyło. Kiedy stałam na brzegu rzeki, patrząc na niknące w ciemności światła karetki, poczułam dziwne

kłucie w stopach. Spojrzałam na nie, zdziwiona i przestraszona. Nagle byłam w stanie poczuć błoto zbierające się między moimi palcami i łaskotanie suchej trawy. Potem wrażenie znikło równie gwałtownie, jak się pojawiło.

Byłam zszokowana. Od tak dawna desperacko pragnęłam jakiegoś cielesnego wrażenia. Chciałam poczuć coś, cokolwiek. A jednak choć kładłam rękę na jakimś przedmiocie, naciskałam na niego, wciąż nie miało to znaczenia. Nic nie czułam. Nic prócz tępego nacisku, który nie pozwalał mi pójść dalej.

Po śmierci przekonałam się, że opowieści o nadprzyrodzonych mocach są nieprawdziwe. Nie umiałam przenikać przez ściany ani przenosić się z pokoju do pokoju. Żywi ludzie, którzy znajdowali się obok mnie, nie przechodzili przez moje ciało, lecz instynktownie je omijali, jakbym była przeszkodą na ich drodze.

Jedynym, co czułam, na co miałam wpływ, byłam ja sama. Mogłam dotknąć swoich włosów, sukienki, skóry. Po pewnym czasie i to jednak przestało mnie uspokajać, lecz zaczęło wydawać się okrutnym żartem: znalazłam się w jednoosobowym więzieniu. Tak, jakbym istniała w moim własnym, ograniczonym wymiarze, niewidoczna i niesłyszalna dla nikogo, lecz w pełni świadoma swojego otoczenia.

Trudno opisać, jak się czułam: byłam nie tylko niewidzialna, lecz także pozbawiona węchu, smaku, nawet dotyku. Jakże znaleźć słowa dla faktu, że jedyne fizyczne wrażenia towarzyszyły koszmarom, w których na nowo przeżywałam swoją śmierć?

A jak opisać dotyk dłoni na moim policzku po tak długim czasie?

Nie tylko sam dotyk był niesamowity, ale również to, że zdawało się, iż otworzył bramę dla całej gamy odczuć.

W ciągu dwóch dni, które nastąpiły po wypadku, w najdziwniejszych chwilach pojawiły się doznania ze świata żywych. Szorstkość kory dębu, o który się oparłam, wilgoć kropelki deszczu, gdy nad rzeką przez chwilę padało. Uczucia te pojawiały się i znikwały, a ja nie miałam na nie wpływu.

Jedno z nich mogłam jednak kontrolować: ledwo dostrzegalne drżenie w żyłach na myśl o jego skórze. Drżenie to zdawało się wywoływać też przyspieszenie pulsu w nadgarstkach i na szyi, starałam się więc wywoływać je na nowo, kiedy tylko mogłam.

Myślałam znów o jego skórze, gdy bez ostrzeżenia owionął mnie oszałamiający zapach. Zamarłam, czując woń letnich jeżyn, zwisających z krzewów oświetlonych popołudniowym słońcem. Podeszłam do nich, wdychając ich cierpki, przejrzasty zapach. Choć szybko uleciał, a obojętność znów otoczyła mój umysł, roześmiałam się głośno.



Zdarzyło mi się to dopiero drugi raz podczas mego życia po śmierci i chciałam wybuchnąć śmiechem ponownie. Nie wiele myśląc, wbiegłam po trawiastym, przemoczonym wale, aż na most.

„Na jednym oddechu pokonuję wysokie wzgórza. Albo i bez oddechu. Martwa Supermenka.” Znów roześmiałam się, już na szczycie wzgórza, i poczułam, jak kręci mi się w głowie.

Kiedy jednak znalazłam się na drodze, zatrzymałam się, jedną stopą stojąc na ulicy, drugą na trawie, z rozpostartymi ramionami, jak akrobatka na trapezie.

High Bridge Road.

Słowa w mojej głowie zabrzmiały jak groźba. Natychmiast ogarnęła mnie chęć ucieczki. Poczułam zgrzytanie z tyłu głowy, swędzenie na skórze.

Czy poczułam zbliżający się koszmar? Nie, to było zupełnie inne przecucie, zapowiedź czegoś, czego jeszcze nie znałam.

Pokręciłam głową. Zachowywałam się jak opętana. Byłam przecież martwa. Czy mogło istnieć coś bardziej przerażającego ode mnie samej?

Zmusiłam się, by przestawić drugą stopę z trawy na beton. Moje nogi ruszały się niemal bezwolnie, a każdy kolejny krok wywoływał dreszcz na moich plecach.

Co za głupota, pomyślałam. Wyprostowałam się. Nie zamierzałam skradać się wzdłuż drogi jak zjeżony pies.

Ruszaj się, nakazałam sobie na głos. Szłam dalej, mając poczucie wyznaczonego celu, wciąż jednak dość sztywno. Każdy krok coraz bardziej mnie niepokoił, jednak nie zwolniłam, póki nie znalazłam się pośrodku mostu.

Zatrzymałam się dopiero, gdy dotarłam do postrzępionej dziury po mojej prawej stronie, otoczonej metalowymi barierkami, które sięgały mi do pasa. Żółta taśma policyjna i kilka drewnianych koziółków znajdowało się pomiędzy dziurą a ulicą, nie pozwalając, by ktokolwiek lub cokolwiek spadło z mostu. Zniszczona balustrada zwisała znad krawędzi mostu po każdej stronie dziury, szamotana silnym wiatrem. Jego – Josha – samochód wybił przynajmniej dwumetrową dziurę w barierce, nim spadł do rzeki.

Zadrżałam na samą myśl o wypadku, ale też na dźwięk jego imienia w mojej głowie. Otoczyłam tułów ramionami, nieśmiało zerknęłam na ziemię. Pasy czarnej gumy tworzyły wzór na ziemi, tam, gdzie opony podjęły bezcelowy wysiłek utrzymania samochodu na moście.

To wtedy usłyszałam krzyk, przeszywający, straszny dźwięk, który rozbrzmiał za moimi plecami.

Aż podskoczyłam. Z ust wyrwało mi się przekleństwo, którego dotąd nawet nie znałam.

Dopiero wtedy zrozumiałam, że przeraźliwy dźwięk nie był wcale krzykiem. Był to pisk opon. Kilka metrów ode mnie zaparkował czarny samochód. Jego drzwi otworzyły się.

Uspokoiliłam się. Mój pośmiertny instynkt powrócił i podpowiedział mi, że nie muszę uciekać, nie muszę się niczego bać. Nikt, kto prowadził samochód, nie mógł mnie skrzywdzić. Nie mógł mnie nawet zobaczyć.

Jednak mój instynkt oczywiście nie uwzględnił jednego, jedyne wyjątku od tej reguły.

Z siedzenia kierowcy wstał chłopak. Zamknął drzwi samochodu. Był zwrócony do mnie profilem, widziałam jednak, że ma pełne wargi i zgrabny nos, odrobinę zakrzywiony, jakby kiedyś został złamany, lecz potem właściwie nastawiony, niemal czarne włosy i duże, ciemne oczy. Kiedy na mnie spojrzał, pomyślałam, że jego twarz ma znacznie zdrowszy kolor niż wtedy, kiedy widziałam ją po raz ostatni.

– To ty! - zawołał, wskazując mnie palcem.

Niewiele myśląc, odwróciłam się i uciekłam.